

A
Star
IN
HARMONY



A.P. MIST



A.P. MIST

A
Star
IN
HARMONY



Copyright © by A.P. MIST
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Barbara Wrona - tekstnanowo.pl
Korekta: Agnieszka Liszowska
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: canva.com
Pomysł na okładkę: Moje Wydawnictwo

ISBN Papier: 978-83-68147-87-2

ISBN Ebook: 978-83-68147-88-9

ISBN Audio: 978-83-68147-89-6



Moje Wydawnictwo

- 🌐 www.mojewydawnictwo.pl
- ✉ wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
- 📷 [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
- 📺 [mojewydawnictwo](https://www.youtube.com/mojewydawnictwo)
- 🎵 [moje.wydawnictwo](https://www.spotify.com/moje.wydawnictwo)
- 📘 [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)



PROLOG

Sorin

Wiedziałem, że piłka trafi do mnie, zanim jeszcze padło hasło z linii. Czułem to w każdym zakończeniu nerwowym, w rytmie oddechu, w napięciu tłumu, który milknął na ułamek sekundy, jakby cały świat wstrzymał oddech razem ze mną. Stadion w Seattle pulsował życiem, deszcz bębnił po hełmach, a pod stopami czułem każdy skrawek murawy, jakby była częścią mnie.

Dziesięć sekund. Ostatnia akcja. Czwarta próba. Wszystko albo nic.

Dla mnie to zawsze było wszystko.

Ruszyłem. Linia ofensywna rozsunęła się dokładnie tak, jak trenowaliśmy, ale ja już nie myślałem – instynkt prowadził moje ciało szybciej, niż nadążał rozum. Obrońca przeciwników ruszył w moją stronę, ale wystarczyło pół obrotu, jeden błysk w oku i wiedziałem, że go mam. Moje stopy przecięły przestrzeń jak skalpel.

Piłka wzbijała się w powietrze. To był piękny, spiralny lot. Jakby świat zwolnił tylko dla mnie. Rozwarłem dłoń. Złapałem. I w tej samej sekundzie wbiegłem w pole punktowe.

Przyłożenie.

Tłum wybuchł. Cały stadion zatrzęsł się od wrzawy. Na ułamek sekundy zalało mnie białe światło reflektorów, dźwięki, krzyki, euforia. To było tsunami emocji, które znałem, oswoilem i pokochałem.

Miałem dwadzieścia cztery lata, mogłem głośno i z dumą mówić, że jestem najlepszym zawodnikiem Seattle Seahawks. „Złoty Chłopiec Stanu” – jak ochrzciły mnie media. Studiowałem na najlepszej uczelni w Seattle, z listą sponsorów dłuższą niż niektóre kariery i kontraktem, o którym większość chłopaków marzyła jeszcze w liceum. Moje nazwisko brzmiało jak marka. Moja twarz była na billboardach, butelkach z napojami i ekranach. Wiedziałem, że każdy fragment tej chwili należy do mnie. I że to dopiero początek.

Wysłałem pocałunek w powietrze, nie do kogoś konkretnego, ale do świata, który był mój. Do gwiazd, pośród których ja byłem tą najjaśniejszą.

Albo tak mi się wtedy wydawało.

W szatni pachniało potem, wysiłkiem i zwycięstwem. Chłopaki krzyczeli, rzucali ręcznikami, pięściami uderzali w szafki, jakby jeszcze nie mogli uwierzyć, że naprawdę to zrobiliśmy. Że naprawdę ja to zrobiłem.

– Stary, ty jesteś popieprzonym cudem futbolu – wrzasnął Bell i uderzył mnie w ramię tak mocno, że aż się zachwiałem.

Parsknąłem śmiechem i zarzuciłem mu ręcznik na głowę, po czym sięgnąłem po koszulkę z nazwiskiem, które znał już cały stan, a niedługo miała znać cała liga. To była ta chwila. Te kilka minut po meczu, kiedy adrenalina nie schodziła, ale już się czuło, że świat pada ci do stóp.

Przed konferencją zdążyłem jeszcze wypić połowę izotonika i poprawić włosy, choć i tak były wilgotne. Gdy wszedłem na salę, błyski aparatów uderzyły mnie jak fala. Uśmiechnąłem się, pewnie, z luzem, który tak bardzo lubili.

– Sorin, co czułeś w ostatnich sekundach?

– Sorin, czy jesteś gotowy na draft?

– Sorin, jak reagujesz na porównania do Russella Wilsona?

Znałem te pytania na pamięć. Wiedziałem, jak odpowiadać. Zawsze z pewnością, ale bez arogancji. Z uśmiechem, ale nie za szerokim. Złoty Chłopiec Stanu musiał świecić, ale nie razić w oczy. Jak gwiazdy.

– Czułem, że damy radę – odparłem, odwracając mikrofon w swoją stronę. – Czułem nasz rytm. To zasługa całej drużyny i nie było innej możliwości, jak po prostu wygrać.

Oklaski. Śmiechy. Kolejne pytania. Setki zdjęć. Udźwignąłem je wszystkie, bo to była moja gra, nie tylko na boisku, ale i tu, przed kamerami.

A potem wyszedłem za kulisy i zobaczyłem ich. Całą rodzinę Ashworthów.

Mama uściśnęła mnie jako pierwsza. Zrobiła to z taką siłą, jakby nie była filigranową kobietą w wełnianym płaszczu, tylko gigantem emocji. Potrafiła mnie zmiażdżyć ramionami i sercem. Płakała jak zawsze, choć przysięgała, że dziś się powstrzyma.

– Jesteś niesamowity – szeptała. – Jesteś moim światłem, synku.

Tata poklepał mnie po plecach z dumą, którą znałem na pamięć. Nie musiał mówić wiele, jego spojrzenie było wszystkim.

Melody rzuciła się na mnie z impetem. Jak zawsze miała bluzę z moim numerem.

– Prawie zemdlałam – pisnęła. – Widziałeś mnie? Miałam transparent z literkami z brokatem!

Za nią stał Alex, mój człowiek. Ten, który nauczył mnie rzucać piłką w ogrodzie, zanim jeszcze dobrze nauczyłem się chodzić. Przyciągnął mnie do siebie jednym silnym ruchem jak za dawnych lat.

– Jesteś legendą, smarkaczu – mruknął mi do ucha. – Jestem z ciebie dumny.

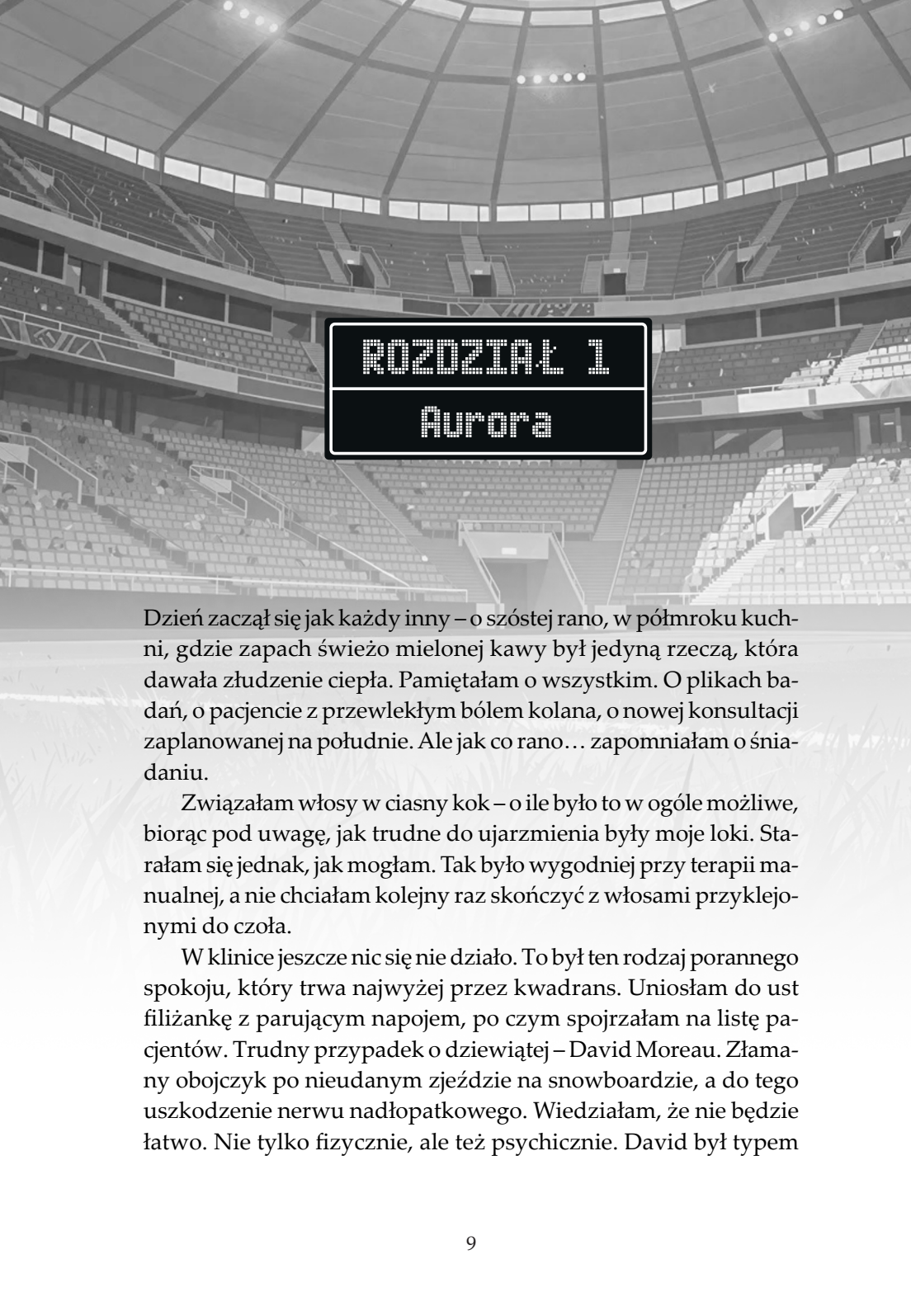
Harper przytuliła mnie zaraz po nim. Ciepło, z tą swoją aurą spokoju i delikatności. A Serenity... Serenity uśmiechnęła się nieśmiało, ale kiedy uniosłem ją w górę, jak robiłem to, gdy miała siedem lat, zaśmiała się uroczo.

– Cześć, mój ulubiony kuzynie – zaświergotała, na co teatralnie przyłożyłem dłoń do piersi.

- Jestem twoim jedynym kuzynem! – jęknąłem.
- Dlatego ulubionym, nie masz konkurencji.
- Sarkazm po ojcu? – Puściłem do niej oko.

Byli na każdym meczu. Zawsze. Niezależnie od miejsca, od pogody, od wszystkiego. Byli częścią tego sukcesu. Częścią mnie.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wszystko, co idealne, kiedyś zaczyna się chwiać. I że czasem największy mecz nie toczy się na murawie.



ROZDZIAŁ I

Aurora

Dzień zaczął się jak każdy inny – o szóstej rano, w półmroku kuchni, gdzie zapach świeżo mielonej kawy był jedyną rzeczą, która dawała złudzenie ciepła. Pamiętałam o wszystkim. O plikach badań, o pacjencie z przewlekłym bólem kolana, o nowej konsultacji zaplanowanej na południe. Ale jak co rano... zapomniałam o śniadaniu.

Związałam włosy w ciasny kok – o ile było to w ogóle możliwe, biorąc pod uwagę, jak trudne do ujarznienia były moje loki. Starałam się jednak, jak mogłam. Tak było wygodniej przy terapii manualnej, a nie chciałam kolejny raz skończyć z włosami przyklejonymi do czoła.

W klinice jeszcze nic się nie działo. To był ten rodzaj porannego spokoju, który trwa najwyżej przez kwadrans. Uniosłam do ust filiżankę z parującym napojem, po czym spojrzałam na listę pacjentów. Trudny przypadek o dziewiątej – David Moreau. Złamały obojczyk po nieudanym zjeździe na snowboardzie, a do tego uszkodzenie nerwu nadłopatkowego. Wiedziałam, że nie będzie łatwo. Nie tylko fizycznie, ale też psychicznie. David był typem

wojownika. Nie lubił słabości, a rehabilitacja właśnie ją z niego wydzierала. Obnażała go.

– Dzień dobry, pani doktor – rzuciła z uśmiechem pielęgniarka, mijając mnie w korytarzu.

– Witaj, Susan – odpowiedziałam, odwzajemniając uśmiech nieco później niż powinnam. Myślami już byłam przy pierwszym ćwiczeniu dla Davida.

Kiedy wszedł do sali, zmęczenie malowało się na jego twarzy jak cień po niedospanej nocy. Oczy miał podkrążone, a ramieniem ruszał ostrożnie, jakby bał się, że ból znów przypomni mu o jego ograniczeniach. Znałam ten wyraz twarzy. Nazywałam go w głowie miną ludzi, którzy stracili wiarę w to, że będzie lepiej.

– Dzień dobry, David. – Gestem dłoni skierowałam go na matę, nie dając mu czasu na wymówki. – Dziś spróbujemy wrócić do rotacji zewnętrznej i delikatnej pracy na obręczy barkowej.

– To i tak nic nie da – mruknął z niezadowoleniem. – Tydzień temu nie byłem w stanie utrzymać kubka z kawą.

– Dlatego jesteś tu, a nie w kawiarni. – Moje słowa były spokojne, ale stanowcze.

W pracy nie potrzebowałam sympatii. Potrzebowałam efektów.

Czasem zastanawiałam się, jak to możliwe, że potrafię być tak spokojna, gdy w środku wszystko aż kruszyło się od cudzych emocji. Czułam frustrację pacjentów, ich niecierpliwość, ten subtelny strach, że może nie wrócić do dawnej sprawności. Ale musiałam być tą, która ich przez to przeprowadzi, nawet jeśli chwilami przypominało to prowadzenie ich z zawiązanymi oczami przez rwącą rzekę.

Po czterdziestu minutach David przeklinał, zaciskał wargi, ale ręka drgnęła. Ruch był ledwo widoczny, ale był. Spojrzałam na niego, a on, choć milczał, patrzył na mnie z pytaniem, czy to już coś.

– Właśnie zrobiłeś więcej niż tydzień temu. – Uśmiechnęłam się delikatnie. – To ogromny postęp.

Nie odpowiedział, ale skinął głową. Dla mnie to był potężny krok. I dowód, że warto.

Do południa zdążyłam przejrzeć cztery karty pacjentów, wypić zimną kawę numer dwa i przeprowadzić jeszcze jeden zabieg mobilizacji stawu barkowego. Wdech, wydech, stabilizacja, ucisk. Ten rytm był jak taniec, który znałam do bólu.

Mój gabinet, choć minimalistyczny, pełen był detali, które mówiły o mnie więcej niż notatki przy drzwiach. Na parapecie stała zasuszona lawenda, nad biurkiem wisiała czarno-biała fotografia fiordu z podróży do Norwegii. Tam nauczyłam się ciszy – i może właśnie dlatego tak dobrze czułam się w świecie, w którym to nie słowa, lecz dotyk był kluczowy.

Koło pierwszej zapukał dyrektor kliniki, doktor Hans Price. Zazwyczaj powściągliwy, dziś wyglądał... na zadowolonego. Uśmiech u niego był niecodzienny.

– Doktor Lark, chciałem pogratulować. David Moreau osobiście zgłosił, że odczuł znaczącą poprawę i po raz pierwszy od miesięcy poczuł... jak to ujął: „że jeszcze może coś zrobić bez pomocy”.

Zamarłam na ułamek sekundy, po czym skinęłam głową.

– Dziękuję, doktorze. Staram się.

– Świetnie ci idzie. – Jego wzrok był poważny. – Jesteś jednym z naszych najmocniejszych filarów. Pomyśl o poprowadzeniu warsztatu dla młodszych terapeutów. Masz w sobie coś, co trzeba przekazać dalej.

Zarumieniłam się lekko, choć na zewnątrz zachowałam spokój. Byłam wdzięczna. I zaskoczona.

Tuż po wyjściu dyrektora udałam się do recepcji, gdzie czekał już nowy pacjent z ramieniem usztywnionym na temblaku. Miał na sobie czapkę z daszkiem, na niej kaptur, a na nosie ciemne okulary, choć w pomieszczeniu nie było słońca.

– Jestem umówiony na konsultację. Wyatt Bishop.

Nazwisko obiło mi się o uszy. Sprawdziałam też wstępną kartę – kontuzja podczas meczu, coś poważnego. Sportowiec, którego trzeba przywrócić do sprawności w mgnieniu oka.

Skinęłam głową i zaprosiłam go do środka.

Wyatt Bishop miał ten typ uśmiechu, który mógłby z łatwością znaleźć się na okładce magazynu sportowego. Albo na kubku ter-

micznym z cytatem: „Wstań i walcz”. Wysoki, dobrze zbudowany, wysportowany, z twarzą naznaczoną nadmiarem pewności siebie. Emanował aurą męczyzny, który przyzwyczajony był do tego, że ludzie go znają i zapamiętują.

Zsunął okulary przeciwsłoneczne dopiero po wejściu do gabinetu. Prawdopodobnie liczył, że zareaguję, może się zawaham. Nie zrobiłam ani jednego, ani drugiego.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Proszę usiąść, panie Bishop.

Usiadł z gracją człowieka, który niejednokrotnie robił to przed kamerami i wiedział, że dobrze wygląda w bezruchu i z każdej możliwej strony. Przetawiałam tablet z jego kartą medyczną na bok i spojrzałam na jego bark.

– Kiedy doszło do urazu?

– Dwa dni temu. Zderzenie na boisku. Chciałem efektownie wylądować, wyszło... no cóż, mniej efektownie.

Zapisywałam. Ton głosu miał rozluźniony, odrobinę ironiczny – jakby chciał złagodzić napiętą atmosferę albo też przetestować mnie i zobaczyć, jak zareaguję na jego luźny styl bycia. Nie byłam tu jednak po to, by grać w czyjekolwiek gierki.

– Ból promieniuje?

– Głównie w nocy. Rano czuję się lepiej, ale potem... – Wzruszył ramionami i zazgrzytał zębami.

– Proszę nie ruszać kontuzjowanym ramieniem bez potrzeby – nakazałam spokojnie, ale bez cienia uśmiechu. – To może tylko pogłębić mikrourazy.

– A pani zawsze taka poważna, doktor...?

– Lark – mruknęłam i wskazałam mu tabliczkę z moim nazwiskiem.

– Aurora – wypowiedział moje imię z rozciągniętym akcentem, który wyraźnie miał być uwodzicielski. – Piękne. Pasuje do ciebie.

Nie odpowiedziałam. W ciszy przygotowałam stół zabiegowy, wskazując mu, by zdjął koszulkę. Zrobił to z pewnym demonstracyjnym ruchem, nie ordynarnym, ale wystarczająco swobodnym, by wiedzieć, że był świadomy, jak wygląda. Jego ciało nosiło ślady

intensywnego treningu, dyscypliny, a teraz także kontuzji. Delikatna opuchlizna na linii obojczyka, zaczerwienienie w okolicach stawu barkowego.

Skupiłam się. Badanie palpacyjne wymagało precyzji, a ja nie miałam zamiaru pozwolić sobie na rozproszenie.

– Próbował pan chłodzić bark?

– Żona Ashwortha mi kazała. – Uśmiechnął się, jakby wspomnienie tej osoby miało złagodzić moją chłodną postawę. – Mojego trenera z dzieciństwa – dodał.

– Dobrze. Proszę się położyć. Będę potrzebowała pełnego zakresu mobilności, żeby określić poziom ograniczenia ruchu.

Wykonywałam każdy ruch metodycznie, sprawdzając reakcję mięśni, delikatnie przesuwając staw, analizując napięcie tkanek. Wyatt nie syknął ani razu, ale jego oddech zdradzał więcej, niż chciałby pokazać.

– Co pani widzi? – zapytał po dłuższej chwili.

– Uszkodzenie tkanek miękkich w obrębie stawu barkowo-obojczykowego. Prawdopodobnie także przeciążenie stożka rotatorów. Potrzebne będzie badanie USG i rezonans. Dopiero wtedy zdecydujemy, czy rehabilitacja wystarczy, czy konieczna będzie interwencja chirurgiczna.

Zamilkł. Uśmiech zbladł, choć nie zniknął całkiem.

– Nie cierpię być bezczynny.

– To najczęstszy problem ludzi, którzy uczynili działanie częścią swojej tożsamości – odparłam, nie podnosząc wzroku. – Ale nie każde zatrzymanie oznacza porażkę.

Patrzył na mnie przez chwilę. Zdecydowanie dłużej, niż wypadało.

– Zaskakujesz mnie, Auroro.

– Nie mam takiego zamiaru.

Jego śmiech odbił się od ścian, a mnie po raz pierwszy przemknęła przez głowę myśl, że za tym śmiechem może kryć się coś więcej. Nie kokieteria, nie potrzeba podrywu, ale lęk. Bezruch dla sportowca jest przecież jak kara, a dla tych, którzy na boisku budują swój świat, chwilowa słabość brzmi jak wyrok.

– Przepiszę skierowanie na rezonans – oznajmiłam. – Potem ustalimy plan rehabilitacji. Do tego czasu proszę nie forsować barku i ograniczyć ruch do minimum. I chłodzenie, przynajmniej dwa razy dziennie.

– Posłusznie się podporządkuję – rzucił żartobliwie. – Jeśli pani doktor będzie mnie dalej prowadzić.

– Tylko jeśli będzie pan współpracował.

Przez ułamek sekundy coś w jego oczach złagodniało. Jakby ten niewielki opór, który napotkał, wcale go nie zniechęcił. Wręcz przeciwnie.

Po wyjściu Wyatta usiadłam za biurkiem i przez dłuższą chwilę patrzyłam na jego kartę. Dłoń miałam nadal lekko napiętą od badania, ale też od skumulowanego wewnętrznego spięcia. Nie chodziło o niego. Ani o sposób, w jaki się uśmiechał. Ani nawet o to, że próbował mnie zaskoczyć. Chodziło o to, że od pewnego czasu coraz częściej czułam się tak, jakbym kruszała. Jakby warstwa, którą przez lata budowałam między sobą a światem, powoli się ścierała.

Nie chciałam być dla nikogo tajemnicą. Ale nie chciałam też być dla nikogo historią do rozwikłania. Może właśnie dlatego zawsze lepiej rozumiałam urazy mięśniowe niż intencje ludzi.

Wróciłam do dokumentów i pracy – dokładnie tak, jak nauczyłam się robić za każdym razem, gdy ktoś próbował zajrzeć pod moją ochronną powierzchnię.

Wieczory w Seattle miały ten osobliwy charakter półcieplej mgły, jakby miasto wstydziło się być do końca chłodne i nie chciało rozbłysnąć letnim światłem. Lubiłam tę szarawą melancholię. Może dlatego, że była bliska temu, co czułam w środku, nie do końca chłodna, ale z pewnością nie gorąca.

Po powrocie do mieszkania zdjęłam buty przy drzwiach i wstępnęłam ciężko, rozpinając szarą bluzę z haftowanym logo klini-

ki. Cisza w moim mieszkaniu nie była przytłaczająca. Raczej znajoma. Oswojona.

Jasne drewno, minimalistyczne półki, biała pościel i ciemno-zielone zasłony, które rano przepuszczały dokładnie tyle światła, ile potrzebowałam. Mój świat był prosty. Zbyt prosty według niektórych.

Odstawiłam torbę przy wejściu, a potem podeszłam do kuchni i nalałam sobie szklankę wody z plasterkiem cytryny. To był rytuał, który powtarzałam od lat, jakby ta odrobina kwasowości miała przypomnieć mi, że jestem tu, a nie gdzieś indziej. Czasem człowiek potrzebuje takich drobnych znaków.

Miałam ochotę zamknąć się w łazience z parą, delikatną muzyką i balsamem o zapachu lawendy. Zanim jednak zdążyłam sięgnąć zegarek, zadzwonił telefon.

– Wychodzimy? – Głos Annabell był jak zawsze żywy, energetyczny, lekko zachrypnięty od wieczornego wina albo porannej kawy. W jej przypadku obie wersje były możliwe.

– Chciałam odpocząć. Miałam trudnego pacjenta.

– Wiem. Właśnie o tym chcę pogadać. Widziałam nazwisko na liście dzisiejszych przyjęć. Wyatt Bishop? Serio? Jesteś na dobrej drodze, żeby zostać terapeutką sportowców z listy „Forbesa”.

Uśmiechnęłam się pod nosem, ale nie odpowiedziałam od razu.

– Bez względu na to, jest tylko pacjentem. Uraz barku. I ego.

– Ha! – zaśmiała się. – To drugie może być trudniejsze do zrehabilitowania.

– Nawet nie próbuję.

– Dlatego cię kocham. Daj się dziś wyciągnąć. Kawa, herbata albo coś z bąbelkami. Twoja decyzja.

Westchnęłam, ale obie wiedziałyśmy, że się zgodzę, zanim jeszcze zdążę powiedzieć słowo.

Spotkałyśmy się w małej kawiarni na rogu, gdzie zawsze pachniało drożdżowym ciastem z cynamonem i gdzie na ścianach wisiały niepasujące do siebie obrazy lokalnych artystów. Uwielbiałam to miejsce za brak porządku. Za nieoczywistość.

Annabell miała na sobie szeroki sweter w kolorze musztardy, a do tego mocno podkreśliła usta czerwoną szminką. Usiadła już z kubkiem herbaty chai i ciastkiem z malinami.

– Dla ciebie też wzięłam – oznajmiła, przesuwając w moją stronę drugi kubek i talerzyk. – Bo wiem, że i tak nie zjesz nic do rana.

– Dziękuję.

Naprawdę to doceniałam, bo ona jedna potrafiła mnie przejrzeć.

Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę o wszystkim i o niczym. O jej nowych studentach, o hałaśliwych sąsiadach, o pogodzie, która nie mogła się zdecydować, czy już przestać być wiosną. A potem temat znów wrócił do mnie.

– A ty? – zapytała, bawiąc się łyżeczką. – Co u ciebie, poza urazami i zaciśniętymi szczękami sportowców?

Wzruszyłam ramionami.

– Praca. Jak zawsze. Lubię to. Lubię wiedzieć, że jestem potrzebna.

– Ale czy lubisz siebie poza tym? – zapytała jakby od niechcienia, ale spojrzała mi w oczy.

Zapadło milczenie, aż w końcu stwierdziłam:

– Nie wiem, czy trzeba siebie lubić. Może wystarczy siebie rozumieć.

Teraz to ona zamilkła. I chyba właśnie dlatego tak ją uwielbiałam. Bo nie próbowała mnie naprawiać na siłę. Po prostu była.

Gdy wróciłam do mieszkania, zegar wskazywał kilka minut po dziesiątej. Zmyłam makijaż, rozczesałam palcami włosy i z kubkiem herbaty z melisą usiadłam na krawędzi łóżka.

Z szuflady nocnej wyciągnęłam swój notes. Nie dziennik, nie pamiętnik, ale przestrzeń na myśli. Wypisałam jedno zdanie:

„Nie wszystko, co obudowane murem, jest bezpieczne”.

A potem zamknęłam notes i zgasiłam światło.

Nie chciałam dziś więcej rozmyślać.

Jutro miało być kolejnym dniem.

Rutyna była dobra. Bezpieczna. Znana. Ale gdzieś pod powierzchnią, niepokojąco delikatnie, świat zaczął oddychać innym rytmem.



ROZDZIAŁ 2

Sorin

Coś w tej ciszy dzisiejszego popołudnia drażniło mnie bardziej niż zwykle. Może to przez mgłę, która zawisła nad Seattle jak przezroczysta kotara, a może przez wiadomość od Wyatta, która przyszła po jego wizycie w klinice. Mój przyjaciel nigdy nie dramatyzował. Jeśli pisał, że boli, to znaczyło, że było naprawdę źle.

Prędko dojechałem pod apartament, który jego agencja wynajęła mu na czas rehabilitacji. Nowe miejsce, nowe ściany, które nie należały do nikogo. Idealne, by nie przyzwyczajać się zbyt mocno – ani do porażki, ani do pobytu w tym miejscu.

Zapukałem dwa razy. Drzwi otworzyły się niemal od razu.

– Oho, Złoty Chłopiec we własnej osobie – rzucił Wyatt z kąpiącym uśmiechem, unosząc brew. – Przyniosłeś kwiaty? Czekoladki? Kartkę z napisem „wracaj szybko do zdrowia”? Może chociaż baloniki?

– Tylko siebie – odpowiedziałem, wchodząc do środka. – Ale uznajmy, że to więcej niż wystarczające. Ewentualnie prezerwatywy. Jak nadmuchasz, to będą balony – dodałem z zuchwałym uśmiechem.

Apartament był schludny, trochę bezosobowy, jak wszystkie tymczasowe miejsca, w których nie planuje się zostawać na dłużej. Na stole leżały papiery z kliniki, butelka wody i torba z lodem. A raczej wodą. Wyatt miał na sobie luźną bluzę z kapturem i dresy, które wyglądały na nowe. Lewe ramię miał lekko uniesione i otulone miękką ortezą.

Spojrzał na mnie z tym swoim półuśmiechem, który znałem od dziecka. Dokładnie od dnia, kiedy pobiliśmy się w piątej klasie, bo nazwał mnie panickykiem z wielkim podwórkim, a ja go uderzyłem za to, że śmiał mówić o mnie z kpina.

– Zawsze wiesz, jak poprawić mi humor – odpowiedział, gestem dłoni wskazując fotel. – Usiądź, ale nie wkurwaj mnie bardziej, niż już jestem.

Rozłożyłem się nonszalancko i rozparłem ramiona na oparciu obszernego fotela. Mój bark jeszcze lekko ćmił po niedzielnym starciu, ale to nic, co zasługiwało na więcej niż tabletki i trochę rozciągania.

– I jak? – zapytałem, zerkając na jego ramię.

– Jak po wojnie. – Przeszedł ostrożnie w stronę kanapy, po czym usiadł, sapiąc pod nosem i z brakiem cierpliwości wypisanym na twarzy. – Miałem konsultację z kobietą, która mogłaby prowadzić zajęcia z lodowatego profesjonalizmu. Nie wpadła w zachwyt, kiedy usłyszała moje nazwisko. To chyba był pierwszy raz od lat, kiedy ktoś patrzył na mnie, jakbym był po prostu przypadkiem medycznym.

– Może dlatego właśnie ją tam zatrudnili. Ktoś musi cię uziemić.

– Ona nie tylko uziemia. Ona wbija człowieka w glebę jak kołek. Ale wie, co robi. – Wyatt wzruszył zdrowym ramieniem. – Alex nas przyzwyczaił – przypomniał niespodziewanie.

– Pamiętasz, jak darł się na nas przy treningu z drabiną koordynacyjną? Dopóki się nie potkniesz, nie uczysz się niczego – przytoczyłem jego słowa.

– A potem ja się potknąłem i rozwalilem sobie łuk brwiowy. Przez jego genialne ćwiczenia z zamkniętymi oczami – zaśmiał się.

Uśmiechnąłem się szeroko. Alex był nie tylko moim wujkiem, ale też mentorem. Znałem jego krzyki, jego wiarę, jego wieczne „jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz”. Wyatt znał je równie dobrze.

– Jak się czujesz? Serio – spytałem, tym razem z pełną powagą. Przez moment z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Mam ochotę wyjść z siebie i stanąć obok. Wiesz, że byłem w najlepszej formie od lat. A teraz? Nie mogę sam zawiązać buta. I nie chodzi tylko o ból. Chodzi o to, że czuję się bezużyteczny. Jakby wszystko, co robiłem przez ostatnie miesiące, po prostu się zresetowało.

To nie był typ rozmowy, którą można zbyć „dasz radę” albo „to minie”. Znałem to uczucie. Było we mnie gdzieś głęboko – to przerażające drżenie, że jeśli świat, który zbudowałeś, runie, to nic nie zostanie.

– Zresetowało? Może tak, ale twoje ciało to nie komputer. Wciąż pamięta. Pamięta każdy ból, każdy sprint, każdą godzinę spędzoną na boisku. – Wzruszyłem ramionami. – Zaczynasz od innego punktu, ale nie od zera.

Wyatt patrzył na mnie długo.

– Ty nigdy nie pozwalasz nikomu się rozpaść, co? Nawet kiedy sam jesteś w rozsypce.

Zamilkłem. Nie chciałem rozmawiać o sobie. Nie dzisiaj.

– Nie jestem od tego, żebyś się rozsypał. Jestem od tego, żebyś pamiętał, że masz dla kogo się pozbierać – spojrzałem mu w oczy. – A ja jestem jednym z tych „dla kogo”.

– Wiem – przyznał. – Dlatego to właśnie do ciebie napisałem.

Siedzieliśmy tak jeszcze przez godzinę. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym – o meczu sprzed tygodnia, o Aleksie, który ostatnio próbował uprawiać winorośl w ogrodzie, jakby był we Francji, a nie w deszczowym stanie Waszyngton.

Kiedy wychodziłem, Wyatt odprowadził mnie do drzwi, ledwo ukrywając ból przy każdym kroku.

– Jutro masz terapię? – zapytałem.

– Tak. I zamierzam słuchać pani doktor, jakbym był w wojsku.

– Uśmiechnął się krzywo. – Może mnie nie zabije.

– Jeszcze jesteś potrzebny, więc warto nie dać się zabić.

Zszedłem po schodach wolniej niż zwykle. Nie dlatego, że się nie spieszyłem, ale dlatego, że czułem w sobie ciężar. Taki, który znałem aż za dobrze.

Ciężar oczekiwań. Ciężar lęku. Ciężar świadomości, że sukces jest niczym, jeśli nie masz z kim go dzielić, a porażka... porażka boli mniej, kiedy ktoś siedzi obok.

Dziś to ja siedziałem obok Wyatta.

Jutro... nie miałem pojęcia, kto usiądzie obok mnie.

Ale dopóki miałem wybór, nie zamierzałem zostawiać najbliższych samych w ciemności. A Wyatt był moim najlepszym przyjacielem.

Kolejny dzień był chłodny. Delikatne promienie słoneczne ledwie przeciskały się przez szarość chmur. Czerwiec w Seattle potrafił udawać październik. Albo na odwrót. Zmrużyłem oczy, opuszczając podziemny garaż, z którego zgarnąłem przyjaciela, a silnik mojego Chevroleta jęknął, jakby i on stawiał opór takiej aurze.

– Gotowy na powrót do piekła? – zapytałem, rzucając okiem na Wyatta, który z trudem zapinał pas. Ramię miał wciąż w ortezie, a jego twarz, choć próbował przywdziewać maskę, wyraźnie mówiła, że rozrywa go od środka.

– Powiedzmy, że jestem gotowy na spotkanie z najzimniejszą kobietą w całym stanie – mruknął. – Chociaż... z tym „zimna” to może przesadziłem. Bo uroda grzeje jak letni front.

– Serio? – Uniosłem brew, nie odrywając wzroku od drogi.

– Mówię ci, stary. Nie tylko wie, co robi. Ona wygląda, jakby wyszła prosto z włoskiego katalogu medycznego. Długie, kasztanowe loki, oczy w kolorze espresso i ten głos, który sprawia, że człowiek zapomina o spiętym bicepsie i rozwalonym barku, a napięcie pojawia mu się w innej części ciała.

Parsknąłem pod nosem, ale nie odpowiedziałem od razu. Wyatt miał tendencję do przesady, szczególnie jeśli chodziło o kobiety. A jeszcze bardziej, kiedy próbował zatuszować niepokój.

– Dalej udajesz, że się nie boisz?

– Nie udaję – odpowiedział po chwili ciszy. – Po prostu próbuję nie myśleć. Jak się zaczyna rozkładać na czynniki, to człowiek przestaje chodzić. A ja chcę biegać. I wrócić na boisko.

Zamilkłem. Znałem ten mechanizm. Też się go nauczyłem – zagłuszać myślenie działaniem. Wyciskać ciężary, zamiast analizować emocje. Biec szybciej, rzucać dalej, nie dopuszczać do siebie myśli, że ciało to nie maszyna.

Dojechaliśmy na miejsce szybciej, niż zakładałem. Klinika była nowoczesna, imponująca. Jakby miała być remedium na wszystkie problemy.

Zatrzymałem samochód, zgasilem silnik i spojrzałem na Wyatta.

– Dasz radę.

– Wiem. – Odpiął pas z lekkim sykiem bólu. – Ale skoro już tu jestem, to zamierzam przynajmniej nacieszyć oczy.

– Daj spokój, chłopie.

– Co? Nie mam prawa do estetycznych zachwytów? Jesteś za młody, żeby być takim starym dziadem, Sorin.

Zaśmiałem się krótko i wysiadłem pierwszy. Czuję napięcie w karku. Nie moje. Jego. Ale chłonałem je jak zawsze. Może dlatego byłem tym, który dźwigał za dwóch. Według takiej zasady żyłem: „Najpierw myśl o innych, potem o sobie. A najlepiej wcale”.

Gdy przekroczyliśmy próg kliniki, Wyatt lekko się wyprostował, jakby próbował ukryć ból. Rejestratorka uśmiechnęła się na nasz widok. Znała jego nazwisko, nie tylko jako pacjenta, moje zapewne też.

– Dzień dobry, panie Bishop. Pani doktor za moment będzie gotowa. Proszę usiąść.

Zajął miejsce w jakimś żółtym fotelu. Ja stałem.

– Siadaj – rzucił do mnie. – Przecież nie masz dziś meczu.

– Nie umiem siedzieć, kiedy nie mam co robić.

– Ty nigdy nie umiesz niczego odpuścić. – Spojrzał na mnie uważnie. – Nawet dla swojego własnego zmęczenia.

Zacisnąłem dłonie na udach. Czasem za dobrze mnie odczytywał.

Drzwi otworzyły się kilka minut później. Najpierw usłyszałem głos – miękki, opanowany, z wyraźnym spokojem – jak u kogoś, kto panuje nad sytuacją.

– Panie Bishop, zapraszam.

A potem ją zobaczyłem.

I choć nie miałem zwyczaju zwracania uwagi na ludzi z powodu ich wyglądu, a już na pewno nie po pierwszym spojrzeniu na kogoś, coś jednak we mnie rozlało się ciepłem i dziwnym drżeniem.

Przede mną była niewysoka, zgrabna dziewczyna z ciemnymi, kasztanowymi lokami, które gdzieś tam przebłyskiwały miedzią, zebranymi w niedbały kok i ze spojrzeniem, które nie szukało aprobaty. Spokojna. Uważna. Nie za chłodna. Nie za ciepła. Jak harmonia między precyzją i profesjonalizmem a instynktem i emocjami.

Zerknęła tylko krótko w moją stronę, jakby sprawdzała, kto towarzyszy pacjentowi, ale nie zatrzymała na mnie wzroku.

I właśnie to było... inne.

Wyatt ruszył pierwszy, rzucając jeszcze przez ramię:

– A ty nie odchodź za daleko. Może będziesz musiał mnie wynieść, jeśli mnie znokautuje. Albo reanimować panią doktor, jeśli to ja zwalę ją z nóg.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem, jak znikają za drzwiami, a potem usiadłem tam, gdzie on siedział wcześniej. Opadłem na fotel z cichym westchnieniem.

Nie znałem tej kobiety. Nie wiedziałem nic o jej życiu, pracy, świecie. Ale była inna niż te, które mijałem na eventach, konferencjach i sesjach zdjęciowych. Nie szukała mojego spojrzenia. A jednak coś we mnie odnotowało jej obecność, jakby powietrze nagle zmieniło skład i gęstość. Jakby moje ciało, bardziej niż głowa, zarejestrowało, że oto pojawił się ktoś, kto niczego ode mnie nie chce.

Nie miałem prawa tego analizować. Byłem tylko wsparciem dla przyjaciela. Gościem w tym miejscu. Obserwatorem. Ale moja uwaga nie wróciła już tam, gdzie była wcześniej.

Nigdy nie lubiłem czekać. Zwłaszcza, gdy nie miałem kontroli nad tym, na co czekam. Wyatt był po drugiej stronie ściany, a ja miałem wrażenie, że czas włókł się jak spacer przez lepkie błoto.

Przesunąłem palcami po papierowym kubku z kawą, którą kupiłem w automacie. Nie wiedziałem, dlaczego byłem aż tak napięty. Może to dlatego, że widok tej kobiety zostawił we mnie coś, co nie chciało się uspokoić. Jej głos. Jej spojrzenie. I włosy opadające z elegancją na jej ramiona. To był tylko detal. A jednak zapisał się w mojej głowie z dziwną dokładnością.

Stanałem przy drzwiach gabinetu i jak szczeniak przystawiłem do nich ucho, chcąc usłyszeć choć ułamek tego, co mogło się tam dziać. Te otworzyły się nagle, przez co nie miałem szansy się odsunąć. Drobną postacią wpadła na mnie z impetem. Zderzyliśmy się jak dwa niesynchronizowane światy.

– Cholera – warknąłem, cofając się o krok. Kawa rozlała się między nami, a oprócz tego na jej jasnym fartuchu pojawiła się złocistobrazowa plama.

Kobieta znieruchomiała, ale zdawała się w ogóle nie być wytrącona z równowagi. Jakby nic nie było w stanie zaburzyć jej wewnętrznej harmonii.

– Naprawdę? – zapytała chłodno, nie podnosząc głosu.

Najpierw zerknęła na plamę na piersi, potem uniosła wzrok i spojrzała mi prosto w oczy. Jej źrenice były spokojne i nieugięte zarazem.

– Przynajmniej teraz wiem, że naprawdę jesteś równie gorąca co ta kawa – rzuciłem odruchowo.

Nie powinienem był tego mówić. Cholera, wiem, ale coś we mnie – jakiś durny odruch obronny, jakiś mechanizm rozbijania napięcia – kazał mi wyskoczyć z tym głupim tekstem, jakbym próbował przykryć własne zawstydzenie i niezrozumiałe oszołomienie tą kobietą.

Jej ciemne, lodowate spojrzenie nie drgnęło.

– A ja przynajmniej wiem, że nie tylko na boisku masz refleks spóźniony o pół sekundy.

Poczułem, jak coś mnie ścina, choć nie z nerwów, a z uznania wobec tej kobiety. Bo nie każdy potrafił mi się odgryźć bez mrugnięcia okiem.

– Przepraszam. To był odruch. – Podniosłem ręce, cofając się jeszcze o krok. – Nie zamierzałem... znaczy, zamierzałem, ale to był idiotyczny żart. I zdecydowanie nie miałem zamiaru cię oblewać.

– Wie pan, panie Ashworth... – Złożyła ręce przed sobą, jakby układała myśl. – W tym budynku nie obowiązuje stadionowy regulamin. Ani ego, ani urok osobisty nie są przepustką do...

– Słusznie – przerwałem jej i skinąłem głową. – Przepraszam. Nie chciałem. Naprawdę. Nie jestem aż takim idiotą... przeważnie.

Spojrzała na mnie jeszcze przez moment, jakby oceniała, czy w tym zdaniu kryje się cień prawdy.

– Mogę się zrehabilitować. Może...

– Nie. – Tym razem to ona mi przerwała bez cienia uprzejmości. – Wystarczy, że rehabilituję ludzi w gabinecie. Poza nim nie mam na to czasu.

Potem bez słowa obróciła się na pięcie i zniknęła za rogiem. Zostałem sam, z papierowym kubkiem w dłoni i plamą poczucia winy gdzieś w środku.

– No to chyba mamy remis – powiedziałem pod nosem. Ale czułem, że przegrałem. I że chcę rewanżu.